

Redakcja i administracja:
Lublin, ul. Kościuszki Nr 8
tel. 3-60

Redaktor naczelny:
przyjmuje codziennie
w godz. 6-7 wiecz.

Sekretariat:
czynny w godz.
12-1 w poł. i 6-7 wiecz.

Już dziś
zamów prenumeratę!

EXPRESS

LUBELSKI

WYDANIE NADZWYCZAJNE!

DNIA 9 LISTOPADA 1930 ROKU

MAKABRYCZNE ZABÓJSTWO ZNAWEGO DZIENNIKARZA

Potwór z Lublina? Ludność jest przerażona!

Dziś w godzinach porannych na Krakowskim Przedmieściu w mieszkaniu Romana Bindera, redaktora „Głosu Lubelskiego”, zaniepokojona sąsiadka dokonała makabrycznego odkrycia.

Dziennikarz leżał martwy od kilku godzin, a jego nieludzko zbezczeszczone ciało wprawiło w wielką grozę nawet doświadczonych śledczych. Morderca, nie zostawiając śladów, zniknął w nocnym mroku.

Wszyscy zadajemy sobie pytanie, jak na głównej ulicy miasta mogło dojść do tak przerażającej zbrodni, o jakich nie słychać nawet w przestępczym półświatku przedmieść. Czy nieuchwytny morderca uderzy po raz drugi? Czy policja zdoła zapobiec kolejnym tragedjom?

Nasza redakcja, wobec milczenia władz policyjnych lu-



belskich, zapytała o to telefonicznie pana Ricarda Poronica, astrologa cenionego m. in. przez policje warszawską i niemiecką z uwagi na wiele konsultacji. Znakomite medium, a zarazem pionier nowoczesności, uwzględniający w swych

analizach wpływ odkrytej dopiero w tym roku planety Pluton, przestrzega:

„Koniunkcja Słońca i Merkurego sprzyja jednostkom o silnej woli, pomagając im w tak dobrych, jak i zbrodniczych zamierzeniach. Wzmac-

niają ją dwa trygony Plutona: ze Słońcem, który budzi niepokój w ludzkiej psychce, i z Merkurem, który pomaga jednostkom o błyskotliwej, nawet diabolicznej sile intelektu. Jednak najbardziej złowrogą siłę niesie koniunkcja Plutona z Jowiszem, sprzyjająca uwolnieniu ciemnych cech mentalnych. Co znamienne, układ Jowisz — Pluton tworzy również najgroźniejszą parę w horoskopie na dzień 31 sierpnia 1888 r., kiedy w Londynie słynny Kuba Rozpruwacz dokonał pierwszego mordu”.

Łączymy się w smutku z całą redakcją „Głosu Lubelskiego”, a naszych szanownych Czytelników zapewniamy, że będziemy na bieżąco informować o postępach śledztwa.

(mw), fot. H. Poddębski

PRASA LUBELSKA I KRAJOWA PORUSZONA BRUTALNYM MORDERSTWEM ROMANA BINDERA

„Kurier Lubelski” pisze: Prawdziwe szczęście w nieszczęściu, że sprawę prowadzi kierownik Wydziału Śledczego komisarz Maciejewski, powalający jak litr czystej wypity pod trzy meduzy w „Wykwint-

nej”, skuteczny jak prawy prosty boksera i niepowstrzymany niczym szarżująca tankietka. A swoją drogą komu podpadł znany z ciętego języka redaktor Roman Binder? Włoskiej mafii, komunistycznej międzynarodowce, a może satanistom, którzy podobno odprawiali czarne msze w cukierni Semadaniego? No bo chyba nikt nie uwierzy, że zlecenie dał „Kurier”!

„Głos Lubelski” pisze: Wypadki dzisiejszej nocy pogrzyżyły całą naszą Redakcję w głębokim smutku. Roman Binder, wieloletni redaktor naczelny naszej gazety — prawdziwy polski patriota i obywatel — z odwagą piętnował zakusy sił masoneryjnych i komunistycznych, a także z do- cieklnością opisywał wszelkie

bołaczki naszego miasta. Choć wielu środowiskom jego śmierć była z pewnością na rękę, nie do nas należy rzucanie oskarżeń. Jednak badającym sprawę władzom policyjnym bezustannie będziemy patrzeć na ręce.

„nasz sztandar” pisze: roman binder przeciwstawił się postępowym ruchom lubelskiej klasy robotniczej — najmniej wraz z przedstawicielami innych miejscowych redakcyj „nasz sztandar” zaprzecza jakoby morderstwo na osobie bindera mogło mieć coś wspólnego z działalnością polityczną opozycyjnej lewicy. lecz jeśli okazałoby się iż czynu przestępczego dopuścił się w akcie desperacji przedstawiciel wielokrotnie opluwanej przez „głos lubelski” klasy robotni-

czej i mniejszości narodowych nasza redakcja roztoczy nad nim bezpłatną opiekę prawną i zadba o rzetelne relacje z procesu!

„Wiadomości Literackie” piszą: Ledwo na lubelskim Krakowskim Przedmieściu umilkły odgłosy fleszy policyjnych fotografów, ledwo ciało Bindera zabrał lekarz sądowy, miłośnicy kryminalnych historii już mogą poznać wszystkie kulisy tej zagadkowej zbrodni, bo- wiem wydawnictwo Red Horse wydało właśnie powieść Marcina Wrońskiego p. t. „Komisarz Maciejewski. Morderstwo pod cenzurą”. Pisarz szybszy od dziennikarza, a oficyna Red Horse od Polskiej Agencji Telegraficznej? Tego nie było nawet w Ameryce!

z ostatniej chwili:

ZBRODNIA W TEATRZE!

(P.A.T.) JUŻ DZIŚ, 22 listopada o godz. 6 wieczorem Ośrodek Brama Grodzka — Teatr NN, ul. Grodzka 21, zaprasza na spotkanie z Marcinem Wrońskim, autorem powieści kryminalnej „Komisarz Maciejewski. Morderstwo pod cenzurą”. Książka wydana m. in. pod patronatem Kancelarii Prezydenta Miasta Lublina odśłoni Szanownej Publiczności kulisy sensacyjnych wydarzeń w scenarii pięknych lat 30. Wieczór uświetnią uwielbiana Hanka Ordonówna, Adam Aston i in. W programie także pokaz niezapomnianych fotografii Lublina.

KOMUNIKAT KOMENDANTA POWIATOWEGO P. P. W LUBLINIE

Jak oznajmił nalegającym nań dziennikarzom redakcyj miejscowych i krajowych Komendant Powiatowy P. P. nadkomisarz A. Sobociński:

„W dniu 9 listopada br. nad ranem zamordowany został we własnym mieszkaniu p. red. Roman Binder. Władze policyjne lubelskie pod nadzorem sędziego śledczego i tu. Prokuratury wszczęły intensywne kroki mające na celu wykrycie sprawcy tej bulwersującej zbrodni. Wszystkie osoby, które mogą udzielić informacji w tej sprawie, wzywa się do złożenia zeznań w Wydziale Śledczym przy ul. Staszica 3, tel. 1-91”.

Reporterzy nie kryli rozczarowania zdawkowym komunikatem komendanta. Niewiadomo nawet, czy zbrodnia miała charakter rabunkowy, osobisty czy też polityczny. (gj)



OGŁOSZENIA DROBNE:

— Książeczkę do nabożeństwa zgubiła dziewczynka, biegnąc w kierunku gmachu K.U.L. Zguba do odebrania w biurze Redakcji.
— T. Sadlik, dr med. — skórne, weneryczne dyskretnie. Lubartowska 12 w oficynie.
— Ricardo Poronic — porady astrologiczne korespondencyjnie. Warszawa 2, poste restante.
— Wydawnictwo Red Horse już w listopadzie zaprasza P. T. Czytelników do księgarń w całym kraju! Chcesz wiedzieć, kto zabił Bindera? Pytaj o nową książkę Marcina Wrońskiego!



Jeszcze nim fiat zahamował z piskiem opon, Zielny stanął na stopniu auta i wystrzelił w powietrze.

— Stój, policja! — Wymierzył w jeden z cieni przemykający w świetle reflektorów. — Stój, bo strzelam!

Zyga wyskoczył z samochodu, odbiegł parę metrów. Pociągnął spust, jednak za późno — pocisk z przenikliwym piskiem odbił się od parkanu drożdżowni. Bandyci już byli po drugiej stronie ogrodzenia.

— Tam, panie kierowniku! — wskazał ręką Fałniewicz.

Bychawską biegło ku nim dwóch policjantów. Starszy zdejmował z ramienia karabin, młodszy dmuchnął w gwizdek.

— Wydział Śledczy, podkomisarz Maciejewski! — zawołał do nich Zyga. — Wezwijcie posiłki. Auto, ludzi, pistolety maszynowe. Ścigamy podejrzanych o morderstwo.

— Ale my jesteśmy z Dwójki — wysapał starszy z mundurów, kiedy dotarli do taksówki. — Leć, Janek! — polecił młodszemu. — To kawałek drogi, panie... panie komisarzu...

— Czyście zdurnieli?! Fałniewicz, zajmij się tym — warknął Zyga i ruszył wzdłuż parkanu.

— Do komisariatu kolejowego, już! — wrzasnął tajniak. — Drogi służbowej wam się zachciało!

Młodszy policjant zawrócił, zaczął wspinać się na nasyp. Przeskoczył niezgrabnie tory i zniknął w mroku.

— A wy za mną! — polecił Fałniewicz starszemu posterunkowemu, odbezpieczając rewolwer.

W tym momencie zobaczył, że Florczak wyciąga spod siedzenia solidną łyżkę do opon i też zmierza w stronę drożdżowni.

— A pan co? — wydusił zdziwiony tajniak.

— Mam tu tak sam stać jak głupi? — Oburzył się taksówkarz. — Karoserię mi podziurawili.

— Tak jest, stój pan jak głupi, panie Florczak. Bo kierownik mi nogi z dupy powyrywa.

Wywiadowca pobiegł w głąb Garbarskiej. Zza parkanu dobiegły go odgłosy dwóch strzałów, ale nikt nie krzyknął ani nie upadł. Jedna z desek ogrodzenia była odsunięta. Mundurowy właśnie przepychał się przez szczelinę. Tajniak, spojrzawszy najpierw w otwór, potem na swój brzuch, schował broń i złapał się dłońmi szczytu parkanu. Usłyszał przykry dźwięk dartej tkaniny i odpryskującego guzika.

— Cholera! — mruknął. Podciągnął się na rękach.

Maciejewski przykucnął kilka metrów od ogrodzenia przy stojącej na ceglach, pozbawionej kół przyczepie samochodowej. Zielny, lekko wychylony z drugiej strony przyczepy, obserwował teren. Posterunkowy właśnie wyłaził z dziury w płocie, podpierając się karabinem.

Fałniewicz zrobił kilka głębokich oddechów i przeskoczył. Zanim wylądował na nierównym bruku pokrywającym plac fabryczny, kątem oka dostrzegł rozbłysk wystrzału zza rogu nowego budynku rektyfikacji. Zielny i podkomisarz odpowiedzieli ogniem. Bandyta zdążył się jednak schować.

— Znajdźcie telefon! — rozkazał Zyga mundurowemu, kiedy do nich dołączył. — Może tam, w administracji. — Wskazał budynek przylegający do Bychawskiej.

Policjant skinął głową i pobiegł.

— Niżej głowa! — wrzasnął za nim Zielny.

Jednak mundurowy, najwyraźniej zobaczywszy jakiś ruch po drugiej stronie fabryki, wyprostował się jak na strzelnicy i przyłożył karabin do ramienia.

— Schyl się! — zawołał Maciejewski.

Za późno. Padł strzał, policjant wypuścił broń i skulony zwał się na ziemię.

— Jasna cholera! — warknął podkomisarz. — Osłaniajcie mnie.

Po chwili we trzech byli już nad leżącym. Trzymał się za bok, poruszał nogami, jakby jechał na niewidzialnym rowerze i jęczał:

— Jezusie Nazareński, Jezusie Nazareński!...

Światło odległej latarni odbiło się słabo na otwieranych drzwiach starej drożdżowni. Usłyszeli skowyt wyłamywanego zamka, zgrzyt zawiasów i kłapanie.

Zyga przycisnął rannego do ziemi. Obmacał postrzał.

— Tylko draśnięty — stwierdził. — Idziemy. Ma któryś latarkę?

— Przecież szliśmy na bal... — bąknął Zielny.

— Trudno, zatańczymy po ciemku.

Pobiegli schyleni wzdłuż budynku, przystając przy każdym z trzech okien sutereny, które dzieliły ich od schodów przy głównym wejściu. Fałniewicz ominął platformę wiszącego pod dachem dźwigu załadunkowego, doskoczył do brzegu ganku ogrodzonego metalową poręczą i wycelował w górę,

ubraną w jasny płaszcz, która zniknęła w drzwiach na klatkę schodową.

— To on! — zawołał. Podniósł się na kolana i strzelił.

Za późno, bo uciekający zdążył wybiec. Maciejewski wstał, ale wtedy z łoskotem otwarły się przesuwane wrota do sąsiedniego pomieszczenia. Zyga dojrzał trzy lufy.

— Padnij! — krzyknął do swoich wywiadowców, którzy już ruszali ku schodom.

okna. Na zewnątrz nie było nikogo.

Wtem coś go tknęło i błyskawicznie odwrócił się z bronią gotową do strzału.

Za wielką kadzią dostrzegł dużo mniejszy kocioł, a na nim — wciąż ściskając dłońią grubą na dwa palce rurę, półleżał jeszcze jeden bandyta. Zyga doskoczył do niego, jednak tamten nie wykonał żadnego ruchu. Popchnięty lufą rewolweru upadł na posadzkę.

Marcin Wroński

KOMISARZ MACIEJEWSKI MORDERSTWO POD CENZURĄ

odcinek 264.: STRZAŁY W DROŻDŻOWNI

w kierunku drzwi. Zielny i Maciejewski śmignęli obok niego i wskoczyli na schody z drugiej strony. Podkomisarz pierwszy zajrzał do środka.

Na wprost zobaczył jakiś wielki i ciemny kształt. Od dwu innych, stojących nieco dalej na prawo, odbijało się światło latarń przy Bychawskiej. Rozpoznał stalowe kadzie, które zapewne służyły do namnażania drożdży. Ten jakże pożyteczny proces zgorszyłyby każdego bimbrownika, polegał on bowiem na tak intensywnym karmieniu i napowietrzaniu tych niewidocznych gołym okiem grzybów, że zamiast produkować alkohol, zajmowały się wyłącznie własnymi potrzebami. Teraz, o świecie, kadzie stały jak martwe.

Zyga wsunął się głębiej do hali i przywarł do ściany. Zielny doskoczył do pierwszego zbiornika, wystawiając rękę z rewolwerem. Fałniewicz był już w drzwiach. Nasłuchiwali.

Nagle szczerknęły przełączane kontaktu i policjantów oślepił niespodziewany blask. Światło rozlało się po całej hali, a kadzie odbijały je jak soczewki, raziły oczy niczym lampa na biurku śledczego.

Podkomisarz klęknął i wymierzył na ślepo. Dobiegł go odgłos strzału, ale kula zagrała tylko na metalowej pokrywie którejś kadzi, brzęknęła rozbita rykoszetem szyba. Minęło kilka sekund, zanim Maciejewski odzyskał wzrok na tyle, aby rozpoznać ludzkie sylwetki. Przetoczył się po betonowej posadzce przesyconej lekkim odorem siodu, kwasu i etanolu.

Huknęło sześć wystrzałów z kilku kierunków, ale żaden bandyta nie trafił. Choć byli przygotowani, lampy oślepiły ich tak samo jak tajniaków.

„Któryś tu pracuje albo pracował” — uzmysłowił sobie Zyga. Dostrzegł wysoką postać

Fałniewicz instynktownie odskoczył za kadź. Uderzył w nią barkiem, aż głucho zadźwięczała. Zielny był za daleko. Zawahał się, czy paść plackiem na brudną posadzkę — o pół sekundy za długo. Ktoś strzelił i wywiadowca, nie zważając na ubranie, z wysiłkiem zaczął się czołgać w stronę stalowego zbiornika.

— Panie kierowniku, Zielny dostał! — krzyczał Fałniewicz. — Zielny dostał!

Porozumieli się krótkim ruchem głowy. Kiedy ranny tajniak był już bezpiecznie ukryty za kadzią, Zyga skoczył na prawo, w stronę ściany frontowej. Fałniewicz ku tylnej. Podkomisarz w biegu raz po raz naciskał spust, aż opróżnił bębenek. Dopiero gdy ramię w ramię z tajniakiem siedzieli za kolejną metalową beką, nadstawił ucha. Nikt nie strzelał, zabrzęczało tylko rozbijane okno i ktoś zeskoczył na bruk, na dziedziniec fabryki. Maciejewski pospiesznie opróżnił magazynek z łusek i wepchnął po omacku trzy ostatnie naboje, jakie zostały mu w kieszeni. Przed nimi ktoś jęczał, pełznąć po podłodze.

Doskoczyli. Zyga przydeptał rannemu bandycie dłoń, aby nie mógł sięgnąć po leżący tuż obok rewolwer. Fałniewicz, trzymając swoją broń wyciągniętymi daleko w przód rękami, omiół wzrokiem pomieszczenie, do którego wpadli.

Stała tu tylko jedna, za to olbrzymia kadź, a jej szczyt nikał w otworze w suficie. Z brzucha tej ogromnej beki wychodziła płatanina mosiężnych rur, które biegnęły ku głównej hali.

— Wracaj do Zielnego, nic już nie zwojujemy — rozkazał Maciejewski. Nie zważając na jęki i przekleństwa, przykuł postrzelonego do jakiegoś sterzącego ze ściany uchwytu, po czym kucnął obok rozbitego

Z rany na piersi z cichym bulgotem wypłynęło nieco krwi.

Maciejewski podbiegł do Zielnego. Fałniewicz pomógł mu już usiąść i zatamował postrzał swoją chustką do nosa.

— Bładź jego stara mać, panie kierowniku... — mamrotał Zielny. — Tu... Nowa marynarka... Prawie sto złotych dałem...

— Nie martw się, Zielny, popielata. Do trumny na nic. Zresztą nas w mundurach chowają. Fałniewicz, mów do niego.

Maciejewski znów poszedł do drugiego pomieszczenia, stanął nad trupem i wyjął z kieszeni chustkę. Podniósł przez nią rewolwer martwego bandyty i zbliżył się do drugiego, przykutego do ściany. To był młody chłopak, może dwudziestoletni, ale już zdążył dorobić się na pysku szramy od noża. Podkomisarz opróżnił do koperty bębenek podniesionego rewolweru, potem włożył broń w rękę rannego.

— No to dostaniesz co najmniej usiłowanie zabójstwa policjanta na służbie — powiedział. Mocno zacisnął mu dłoń na kolbie i spuście, po czym ostrożnie schował dowód rzeczowy do kieszeni płaszcza. — Nie powiem, co zrobisz za to klawiszowe wareszkie, bo cię ominie niespodzianka. To co, sypiesz współników czy chcesz, żebym ci tam pogmerał paluchem? — zapytał z uśmiechem, dotykając postrzelonego ramienia bandyty.

— Zobacysz, glino, mam dobrego papugę. On cię zeżre!

— Ta? A świadków też masz? Zyga wcisnął palec nieco głębiej. Ranny przez pół minuty tylko wył jak pies na łańcuchu, a potem zaczął mówić tak dużo i szybko, że nawet Fałniewicz nie nadążyłby z notowaniem.

CIĄG DALSZY W KSIĄŻCE

